

ŁUKASZ
DĄBROWSKI

KONRAD
NIEDZIULKA

JAKUB
STANKOWSKI

URBEX HISTORY

WCHODZIMY TAM, GDZIE

NIE WOLNO



URBEX HISTORY

ŁUKASZ DĄBROWSKI
KONRAD NIEDZIULKA
JAKUB STANKOWSKI

URBEX HISTORY

WCHODZIMY TAM, GDZIE

NIE WOLNO



OTWARTE

KRAKÓW 2019

Copyright © by Urbex History:
Łukasz Dąbrowski, Konrad Niedziulka, Jakub Stankowski

Opieka redakcyjna: Wojciech Karkoszka

Redakcja tekstu: Hanna Trubicka

Korekta: Aneta Wiczcerek

Projekt graficzny wnętrza książki: Daniel Malak

Łamanie: Agnieszka Szatkowska-Malak

Fotografie w książce i na okładce:
Copyright © by Urbex History: Łukasz Dąbrowski, Konrad Niedziulka, Jakub Stankowski

Projekt okładki: Eliza Luty

ISBN 978-83-8135-019-8

Cytat zamieszczony na s. 9: *Autobiografia*, piosenka zespołu Perfect
z płyty *UNU* (1982). Cytat zamieszczony na s. 30: *Najtrudniejszy pierwszy krok*, piosenka
Anny Jantar z płyty *Tyle słońca w całym mieście* (1974).



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o.,
ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków. Wydanie I, 2019.
Druk: Colonel

**DOBREGO
ZŁE
POCZĄTKI**



ŁUKASZ

BYŁO NAS TRZECH, W KAŻDYM Z NAS INNA KREW



Dawno, dawno temu w odległej warszawskiej dzielnicy było sobie pewne specyficzne technikum... A nie, czekaj, to nie ta książka. Na pewno spotkaliście się z opinią, że nie ma przypadków, a wszystko, co się dzieje, jest elementem magicznego scenariusza zwanego losem. Inni mówią, że światem rządzi chaos. Niezależnie od tego, które twierdzenie jest prawdziwe, faktem pozostaje, że nasza trójka poznała się w szkole średniej, na szczęście pełnej pozytywnie zakręconych ludzi. To właśnie z tego technikum wynieśliśmy nasze „wariactwa” oraz przyjaźnie trwające do dziś. Ale zacznijmy od początku.

Większość uczniów, którzy zdawali do tej szkoły, czyli do technikum o profilu lotniczym, miała mniejsze lub większe pojęcie, „z czym się to je” i co właściwie będzie się tam robiło. My także. Nie ukrywam jednak, że w dużej mierze każdy z nas trafił tam poniekąd przez czysty przypadek. „Przypadek” często będzie pojawiał się w tym rozdziale, ale dzięki takim pozornie błahym sprawom jesteśmy w tym miejscu,

w którym jesteśmy, i każda – nawet najmniejsza – rzecz, której się nauczyliśmy, miała wpływ na nasze obecne działanie.

KONRAD:

**JA CHODZIŁEM DO KLASY DLA
WYBITNYCH ZNAWCÓW LOTNICTWA.
ŁUKASZ I KUBA CHODZILI... PO
PROSTU DO SZKOŁY.**

Paradoksalnie, mimo że w jednej klasie byłem z Kubą, najpierw zakumplowałem się z Konradem, który chodził do klasy o innym profilu*. Nauczyciele standardowo myśleli, że skoro mają nowe roczniki, to trzeba zorganizować im wycieczkę zapoznawczą. Super sprawa! Zielona szkoła? Wyjazd nad morze? Wyjazd w góry? Wyjazd gdziekolwiek? Nie! Zorganizujemy wam spacer po Okęciu, zaufajcie nam, tak będzie najlepiej! Dla szesnastolatka każda chwila spędzona poza szkołą jest na wagę złota, więc nikt nie narzekał.

Z perspektywy czasu stwierdzam, że wycieczka wyszła nam na dobre. Dzięki niej mogliśmy się bliżej poznać, a pomógł w tym także mój znak rozpoznawczy, czyli... broda. Chodziłem sobie od pomnika do pomnika i odpływałem, snując refleksje w stylu: „Kim jesteśmy? Dokąd zmierzamy?” i „Co ja tu właściwie robię?”, gdy nagle podbiło do mnie dwóch ziomków: Maciek ode mnie z klasy (jak się okazało), no i Konrad.

– Siema, weź nam powiedz, jak jest w tej szkole, bo chyba któryś raz powtarzasz klasę – zagadał jeden z nich.

– Ej, gościu, ja też dopiero zaczynam, o co chodzi? – odpowiedziałem lekko zdezorientowany.

– O stary, bo kminiliśmy właśnie, czy jesteś nauczycielem czy nie zdałeś pięć razy. Ty tak na serio z tą brodą?

To były czasy sprzed mody na drwala, barber shopy i tego typu uduziwnienia, więc byłem swoistym prekursorem*.

– No fakt, trochę zarosłem, ale zima idzie, człowiek leniwy, to szalika nie będę musiał nosić – odparłem zgodnie z prawdą.

**KONRAD:
LUB HIPSTEREM,
ZWAŁ JAK ZWAŁ.**

Tak od słowa do słowa nawiązała się nić porozumienia, resztę wycieczki przełaziliśmy już razem. Raz zeszło na temat, skąd się tu w ogóle

wzięliśmy. Pamiętacie, jak mówiłem o chaosie? Tego właśnie nie da się chyba nazwać inaczej.

– Tak z ciekawości, z daleka dojeżdżacie? – zagadnąłem. – Bo ja z Grochowa na Okęcie jadę jakieś trzy tygodnie* – powiedziałem.

– Ja ze Śródmieścia – odparł Konrad. Tak naprawdę to mieszka prawie na Mokotowie, ale zawsze dostaje białej gorączki, jeśli mu się o tym przypomni.

KONRAD:
TAK NAPRAWDĘ JECHAŁ OKOŁO
GODZINY, ALE ABY PODKREŚLIĆ
CIERPIENIE, AUTOR UŻYŁ
ZAWYŻONEJ WARTOŚCI.

– A ja z Ochoty – powiedział Maciek.

– To skąd wy się tutaj w ogóle wzięliście? – zapytałem zaciekawiony.

– Zналиśmy się w gimnazjum, później się okazało, że do tego gimnazjum chodziło sporo osób z mojej podstawówki i mamy wspólnych znajomych. Nudziło nam się w wakacje, więc usiedliśmy nad wykazem szkół, zobaczyliśmy technikum lotnicze. Spodobała nam się nazwa i oto jesteśmy.

– Dobra, my to my, ale jak ty z tej Pragi tutaj wylądowałeś? – zapytali dosyć celnie, bo jakby nie patrzeć, to trochę tak, jak dojeżdżać do pracy z Zakopanego do Gdańska.

– W sumie dosyć podobnie. Byłem na pokazach lotniczych w Góraszce, kiedyś organizowano je tam, gdzie teraz stoi Biedronka. Chichot losu i deweloperów. Natrafiłem na ulotkę tej szkoły i pomyślałem: czemu by nie spróbować? No i orzeł wylądował! – No cóż, do orła to mi zawsze daleko było, ale o tym cicho*.

Dosyć dużo zbiegów okoliczności, ale jak to mawiają najstarsi youtuberzy: „Przypadek? Nie sądzę”. Odbębnił mi resztę dnia, każdy zwinął się do domu.

KUBA:
NAJBLIŻEJ TO CI
DO BOR SUKA.

Zapytacie: co robił wtedy Kuba? Dobre pytanie, bo gdzieś zaginął w meandrach tej opowieści. Jak już wspominałem wcześniej, dla szesnastolatka każdy moment, którego nie spędza w szkole, jest na wagę złota, więc korzystanie ze szkoły w granicach rozsądku jest zawsze mile



widziane. A przynajmniej wtedy tak było. Dlatego Kubę poznaliśmy trochę później, już na lekcjach.

Pewnego dnia Kuba rzucił hasło, że zaprasza do siebie, bo dzisiaj luźniejszy dzień, pogoda jesienna, na termometrze minus milion, śnieg, deszcz i jakieś tornado w tle, a lekcje są raczej z tych mało ważnych... I tak w pewnym mieszkaniu na Mokotowie zebrała się mieszanka charakterów z paru klas. Zaczęły się zawiązywać przyjaźnie oraz powstawała swoista baza wypadowa, z której korzystamy do dzisiaj. Nasze urbexowe centrum dowodzenia wszechświatem znajduje się właśnie tam.

Pierwszy rok minął nam głównie na tym wszystkim, na czym spędzają czas uczniowie szkoły średniej. Szkoła, pierwsze wyjścia, pierwsze imprezy i zastanawianie się, co zrobić z nadmiarem wolnego, mając dwa złote w portfelu. O ile w ogóle ma się portfel.

W tym samym czasie zaczęły przylegać do nas ksywki – standard w przypadku tego technikum. Moja przeszła swoistą ewolucję. Któregoś dnia siedzimy na lekcji, wychowawczyni sprawdza obecność,



Może nie jest to zdjęcie z naszych początków, ale przedstawia naszą trójkę w szkole.

połowa klasy myślami jest w łóżku, druga połowa sprawia pozory, że jest sprawna i gotowa. Odczytywanie listy trwa, dochodzi do mojego nazwiska. Wywiązuje się taki mniej więcej dialog:

– Dąbrowski? – pyta wychowawczyni.

– Obecny... – Dość zaspany, próbuję robić dobre wrażenie.

– Jak ten generał? – Kuba oczywiście musiał dodać swoje trzy grosze.

Tak zostałem Generałem, ale tylko na jakieś pół roku, bo szybko przechrzcili mnie na Genziego. Właściwie to przechrzcił mnie Bartek, który działał z nami od początku, ale o tym później. Ksywki pojawiały się i znikwały, ale Genzi jest ze mną od jedenastu lat i pewnie tak już zostanie.

Konrad ma najbardziej zaskakującą ksywkę na świecie, bo od zawsze był po prostu Kondziem. Kuba przez dłuższy czas miał ksywkę Lara, która wzięła się od jego pierwszej zajawki, i nie chodzi tutaj o słynny film z „będę grał w grę”, ale o jego pasję, w której rozwijanie wciągnął później nas.

Wyglądało to tak. Widzimy się po raz pierwszy po wakacjach, nie zmieniło się nic oprócz tego, że Kuba wjechał na białym koniu, cały ubrany w moro. Dobra, konia nie było, ale moro się zgadza.

– Siema, ty w wojsku byłeś w te wakacje czy o co chodzi? – zapytał ktoś w szkole.

– I tak i nie. Pracowałem u kuzynów, ogarniają różne eventy, w tym strzelanki ASG – odparł zaafierowany.

– A co to w ogóle jest?

– Strzelanki, w których dwie drużyny walczą przeciwko sobie, z dużym realizmem i z karabinami wyglądającymi jak prawdziwe – odpowiedział jeszcze bardziej zajarany.

– Czyli coś jak paintball?

– Dużo lepsze, bo dużo bardziej realne, jak chcecie, możemy się kiedyś wybrać.

– Spoko, spoko, przekminimy...

Temat umarł na jakieś dwa miesiące, aby powrócić w połowie jesieni.

– Chłopaki, jest możliwość wynajęcia sprzętu ASG, możemy pojechać na forty Piłsudskiego. Zobaczycie, czym to się je, może wam się spodoba – zaczął nas nakręcać Kuba*.

KUBA:

**W OGÓLE WAS NIE MUSIAŁEM
NAKRĘCAĆ, SAMI BYLIŚCIE NAPALENI
JAK SZCZERBATY NA SUCHARY.**

– No dobra, brzmi spoko, ale coś musimy umieć, wiedzieć?

– Nie no, wszystko będzie na miejscu, ogarniecie.

Ogarnęliśmy średnio. Jako banda żółtodziobów zostaliśmy wystrzelani jak kaczki. Złapałem jednak delikatną wkrętkę i kupiłem najtańszą replikę, tak żeby móc jeździć z Kubą na te „strzelanki”. Co ciekawe, szybko nabraliśmy wprawy w posługiwaniu się krótkofalówkami, jakimś pseudowojskowym sprzętem oraz w poruszaniu się po opuszczonych budynkach. Fort Piłsudskiego był do tego idealny. To duży zalesiony teren, z kilkunastoma budynkami i starym fortem w przedwojennej części. Miejsce, do którego mamy wielki sentyment i w którym spędziłyśmy masę czasu, a butów z tamtego okresu używałem jeszcze przez kilka lat podczas eksploracji. Obecnie, o ile wiem, trwa w Forcie budowa loftów. Koniec końców przez pół roku jeździliśmy po różnych opuszczonych miejscach i lasach. To była fajna przygoda, ale dosyć krótka. Nabrałem trochę cennego doświadczenia, z którego korzystam do dzisiaj, i złapałem lekkiego bakcyła, jeśli chodzi o militaria, dzięki któremu później wylądowałem na studiach w Rembertowie. Ale o tym opowiemy dalej.

Przygodę z ASG skończyłem z klasą. Akurat zbliżał się okres naszych osiemnastek i z tej okazji podbił do nas kumpel, Piotrek, by przedstawić pewien pomysł.

– Ej, słuchajcie, sprawa jest, moja dziewczyna ma urodziny niedługo i przydałoby się zrobić coś grubego – zagaił.

– Nawijaj. Co potrzeba?

– Skoro bawicie się w tych militarystów, to co powiedzielibyście na to, że wpadniecie w przebraniach i będziecie udawać policję podczas nalotu?

Chomiczki w naszych głowach powoli zaczęły analizować temat.

– Ej, w sumie, czemu nie? Co może pójść nie tak?

Słowo ciałem się stało, jak postanowiliśmy, tak zrobiliśmy. Umówiliśmy się, że pojedziemy osobnymi samochodami, na miejscu zadzwonimy do Piotrka z cynkiem i po chwili wbiegniemy do domu. Pokrzyczymy, każemy położyć się wszystkim na ziemię i postraszymy. Potem miały być brawa i opadająca kurtyna. Podjechaliśmy więc pod dom, wybiegliśmy... I tutaj nasz plan zaczął szwankować, bo Piotrek rozmawiał przez telefon, więc nikt nie pogasił światel, a kilka osób stało przed domem.

– Ej, co robimy? Czekamy czy nie? – zapytałem.

– Jedziemy! – Jak zwykle dało o sobie znać ADHD Kuby. Po co czekać choćby pół minuty?

Akcja rodem z *WII*. Wbiegliśmy do domu, pokrzyczeliśmy, przewróciliśmy gospodarza na ziemię z gracją worka cementu i w momencie, kiedy zdziwienie gości zaczęło przeradzać się w panikę, zaczęliśmy śpiewać gromkie *Sto lat*. Już do końca imprezy byliśmy tymi świrami od wojska, a urodziny okazały się jednymi z najbardziej udanych. Reszta nie nadaje się do publikacji...

Wcześniej pisałem o bazie wypadowej, jaką było mieszkanie Kuby. Mieliśmy również swoistą strefę medytacji – w postaci ławeczki na Grochowie. Często spotykaliśmy się tam z Konradem i moimi znajomymi, aby trochę pokontemplować. Właściwie to zabijać czas przy mocno ograniczonym budżecie.

– To co zrobimy z takim pięknym dniem? – zagaił kiedyś Konrad, doskonale wiedząc, że nie bardzo ktokolwiek ma pomysły.

– Możemy się gdzieś pokręcić albo po prostu pogadać, bo bida w kraju.

– Jak zwykle. A może choć raz coś ambitniejszego? – nie dawał za wygraną.

– Niedaleko jest opuszczony stadion kolarski i jakaś ruinka obok. Możemy się przejść i wbić na dach. Co ty na to?

– W sumie i tak nie ma nic lepszego do roboty, prowadź.

Można powiedzieć, że był to nasz pierwszy pomysł na eksplorację.



Tak wyglądaliśmy po pięciu latach eksploracji. Od lewej: Konrad, Łukasz, Kuba.

Stadion jak stadion, ruinka jak ruinka, przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Ot, miejsce, po którym chodziło się za dzieciaka, co może być tam interesującego? Patrząc z perspektywy czasu, widzę, że napędzała nas ciekawość – co też może czaić się za rogiem? Jak wejść na dach? Co prawda budynek miał tylko cztery piętra, ale wtedy i tak była to mega frajda. Faktem jest, że to chęć odkrycia czegoś nowego pchała nas do przodu. Tak samo jest dzisiaj – i nie ma znaczenia, czy jest to stary magazyn na Pradze Południe, czy opuszczony sklep na drugim końcu świata.

Wróćmy jednak do naszych początków. Przygodę ze szkołą średnią można opisać cytatem z pewnej serii filmów na YT: „Może nie najtaniej,



ale jako tako”, innymi słowy „zdolni, ale leniwi”. Przeszliśmy gładko przez wszystkie klasy, radząc sobie nie wybitnie, ale też nie beznadziejnie, o dziwo, pozdawaliśmy matury i z w miarę dobrymi wynikami rozpoczęliśmy studia. Kuba wybrał akademię w Rembertowie, a ja i Konrad zdecydowaliśmy się na pewną techniczną uczelnię ukierunkowaną na lotnictwo. Poszliśmy na studia zaoczne, tak żeby móc jednocześnie pracować. Konrad dodatkowo zapisał się na dzienne w Rembertowie.

Przygoda z uczelnią techniczną była ekspresowa i pełna wzlotów i upadków. Na drugim zjeździe rozmawialiśmy z ludźmi, którzy zapisali się na ten kierunek rok temu. Okazało się, że dwanaście miesięcy wcześniej ze stu studentów pierwszą sesję zdało tylko ośmiu. Władze uczelni uznały, że to za mało, i uczelnia rozwiązała profil.

– Myślisz o tym samym co ja? – zapytałem po chwilowej konsternacji. – Chyba nie ma sensu się w to bawić.

– Masz rację. To co robimy?

– Nie wiem, trzeba to przemyśleć, ale jest trochę późno, żeby działać z innymi studiami. Ty chociaż jesteś zapisany na dzienne*.

KONRAD:
BO JA MAM ZAWSZE PLAN B.
A NIE „BYŁE DO PRZODU”.
Z SZABELKĄ NA ARMIE.

– I pewnie tylko na nich zostanę.

Na całe szczęście kilka dni później zgadałem się z Kubą na Facebooku. Rozmawialiśmy standardowo o pierdołach – przy okazji wspominając stare czasy – i zeszło na temat studiów.

– I jak tam, dajesz radę? – spytał Kuba.

– Powiedzmy, zmieniłbym uczelnię, ale teraz już trochę za późno. – Rzeczywiście było późno: trwał drugi tydzień października.

– Słuchaj, u mnie jest rekrutacja uzupełniająca, może zapiszesz się na szybko? Przynajmniej nie zmarnujesz roku – zarzucił pomysł, który nie wydawał się taki zły.

– Przemyślę to... – odpisałem.

Zadzwoiłem do Konrada i powiedziałem mu, jaki jest pomysł, on postanowił jednak zostać na studiach dziennych i również zrezygnować z uczelni technicznej. Ja też zabrałem stamtąd dokumenty i rzuciłem na taśmę załapałem się na studia w Rembertowie.

Tak jak pisałem na początku, nie wiem, czy było to zrządzenie losu wymieszane z chaosem czy ktoś tak zapisał w jakiejś magicznej starodawnej księdze, ale wylądowałem na uczelni, na której rodzą się najlepsze pomysły. Jeden z nich doprowadził nas do miejsca, w którym jesteśmy, i zaowocował życiową pasją, kształtując poniekąd nasze dorosłe życie.